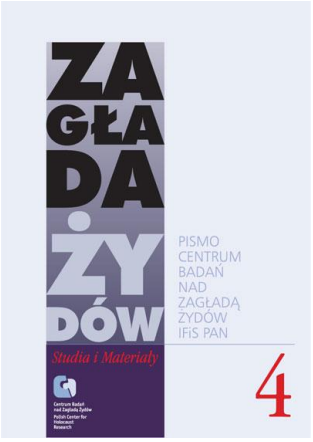


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 4 (2008)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

O pomocy, o ratowaniu Żydów i o badaniu Zagłady – z profesor Nechamą Tec rozmawia Małgorzata Melchior

On help, saving Jews and Holocaust studies – Małgorzata Melchior' interview with Professor Nechama Tec

Nechama Tec

redakcja@holocaustresearch.pl

Małgorzata Melchior

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.290
Strony/Pages: 539-555

CC BY

OPEN ACCESS

O pomocy, o ratowaniu Żydów i o badaniu Zagłady – z profesor Nechamą Tec rozmawia Małgorzata Melchior

W Pani książce sprzed ponad już 20 lat[1] opisywała Pani pomoc udzieloną Żydom przez Polaków jako „światło przebijające ciemność" („Light Pierced the darkness"). To jest metafora, która raczej pozytywnie ukazuje okupacyjne relacje polsko-żydowskie. Czy taka była wówczas Pani intencja i taki był wniosek z tamtych badań?

Jeśli pomyśli się o spustoszeniu, zniszczeniu, okropnościach, o całym kontekście, w którym się to działo, gdy ktoś ratował życie, które miało być unicestwione – to oczywiście było to bardzo pozytywne działanie. Z mojej perspektywy – wręcz heroiczne. Ale nie z perspektywy tych, którzy ratowali. Oni, z pewnych względów, ratowanie widzieli jako coś oczywistego. Kiedy mówimy o tych, którzy udzielali pomocy, musimy bardzo wyraźnie podkreślić, że ich zachowanie było bardzo rzadkie w porównaniu z zakresem zniszczeń i morderstw powszechnie wówczas popełnianych. Pomoc zdarzała się niezwykle rzadko, co nie jest przecież wcale zaskakujące.

Ostatnio przy okazji przygotowywania referatu na konferencję w Paryżu ponownie analizowałam badania, jakie zostały w tej dziedzinie przeprowadzone, aby zapoznać się raz jeszcze z ich wynikami. Odkryłam pewne wzory, pewne sposoby rozłożenia akcentów, które być może powinny zostać skorygowane, na które powinno się spojrzeć w nieco odmienny sposób. Stwierdziłam mianowicie, że główny nacisk kładzie się na działania tych chrześcijan, którzy zostali uznani za Sprawiedliwych, co oznacza, że bierze się pod uwagę tylko tych, którzy altruistycznie ratowali Żydów, nie oczekując konkretnej nagrody. Większość prób badawczych , na podstawie których formułowano wnioski dotyczące ratowników, większość grup, które obserwowano, analizowano, przebadano – i których opisy uważam za fascynujące – obejmują tych, którzy zostali już wyróżnieni przez Yad Vashem tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ale jest wiele osób, które pomagały Żydom i nie otrzymały tego wyróżnienia, chociaż ich działania prowadziły do tych samych rezultatów i stanowiły próby ratowania Żydów właśnie w sposób altruistyczny. Z drugiej strony, już w mojej książce sprzed 20 lat, o której pani wspomniała, stwierdzałam, że były też inne kategorie ratowników: osoby, dla których był to po prostu układ handlowy. Jeśli Żydzi nie byliby w stanie zapłacić tym osobom lub nie chcieli ich wynagrodzić za udzielaną pomoc, oferta pomocy nie miałaby w ogóle

[1] N. Tec, *When Light Pierced the Darkness – Christian Rescue of Jews in Nazi-Occupied Poland*, New York, Oxford 1986.

miejsca. W moich ówczesnych badaniach analizowałam postawy i doświadczenia kilkuset Żydów i ratowników. Badaniami objęłam bowiem dwie grupy: Żydów, którzy usiłowali przeżyć po „aryjskiej" stronie (i to im się udało), oraz chrześcijan, którzy pomogli im przetrwać. Nie było możliwe, aby Żyd przetrwał bez jakiegoś rodzaju pomocy. Ale pomoc nie zawsze była udzielana altruistycznie. Wśród kilkuset przebadanych przeze mnie wówczas przypadków znalazłam małą grupę, mniejszość, lecz mniejszość ważną – około 16 proc. osób, które udzielały pomocy, ale czyniły to dla zysku. Określałam ich jako „płatnych ratowników" i poświęciłam im odrębny rozdział, ponieważ reprezentowali zupełnie odmienny rodzaj postaw.

Stosowała Pani Profesor rozróżnienie na tych, którzy ratowali („ratownicy") i tych, którzy pomagali („pomocnicy").

Określiłam ich mianem „płatni pomocnicy". I używałam tej kategorii także jako grupy kontrolnej dla wyjaśniania zachowań „altruistycznych ratownikówByła też trzecia kategoria, która wielu ludziom wydała się intrygująca. To nie jest zresztą moje odkrycie. Zawsze staram się być blisko danych empirycznych, wnikliwie analizować materiał źródłowy, wsłuchiwać się w głosy konkretnych ludzi, głosy, które pochodzą z relacji znajdujących się w archiwach lub z wywiadów, które sama przeprowadziłam. Staram się słuchać, nie narzucać moich interpretacji, zawiesić własne założenia teoretyczne i hipotezy badawcze. Pozwalam przemawiać tym głosom. Dane empiryczne odsłaniają rzeczywistość. Te dane ujawniły otóż, że wśród ratowników istniała jeszcze mała grupka osób, które określałam jako „ratownicy-antysemici". Także i tej kategorii ratowników poświeciłam osobny rozdział, ponieważ ich postawa wydawała się czymś tak niespójnym. Ktoś może sprawiać wrażenie, że jest otwarty, a być zarazem znanym członkiem endecji i pisać antysemickie książki... Przeprowadziłam wywiad z Dobraczyńskim. To była bardzo niespójna postać. Dlaczego ryzykował życie, aby ratować – poprzez wyszukiwanie miejsc, zdobywanie dokumentów – żydowskie dzieci? Według niego samego było to 300 dzieci, a według innych źródeł – uratował ich nawet więcej. Liczba nie gra tu zresztą roli. Liczy się to, że był gotów ryzykować swoje życie. Grupa osób, o której mówimy, jest bardzo specyficzna i niesłychanie ciekawa, bo trudno było się spodziewać jej istnienia.

W analizowanych przeze mnie badaniach na temat pomocy bardzo rzadko odnajdywałam próby wyodrębnienia różnych kategorii „ratowników". Pojawia się zatem pytanie. Jeśli chodzi o ratowanie życia, może trzeba brać pod uwagę skutki: ocalenie życia jest ocaleniem życia, niezależnie od motywacji, którą kierowała się dana osoba. Jednak jeśli porównuje się różne typy „ratowników" (myślę, że gdyby jeszcze głębiej wejrzeć w dane, prawdopodobnie można by odkryć jeszcze inne kategorie „ratowników", których nie dostrzegłam) okazuje się, że im większą różnorodność postaw odnajdziemy, tym lepiej – jak sądzę – zrozumiemy to zjawisko.

Myślę, że w naszym postrzeganiu problematyki pomocy udzielanej Żydom w czasie okupacji wiele zależy od tego, co traktujemy jako pomoc. W mojej pracy na temat doświadczenia ukrywania się pod przybraną „aryjską" tożsamością przywoływałam relacje i wypowiedzi osób ocalonych, w których jako pomocne

określane były różne, drobne wydawałoby się zachowania. Jak chociażby to, że ktoś na przykład odwracał wzrok, nie patrzył na daną osobę, zbytnio się jej nie przyglądał. To już mogła być jakaś pomoc dla osoby, która zmuszona była ukrywać swoją tożsamość, bo dzięki temu czuła się nieco pewniej. Oczywiście, w Pani badaniach tego typu zachowania nie były brane pod uwagę. Liczyła się aktywna pomoc: że ktoś dał schronienie, pożywienie czy udzielił innego rodzaju wsparcia.

Bardzo trudno badać w systematyczny, naukowy sposób takie gesty jak odwrócenie wzroku. Chociaż mogło to być bardzo pomocne w pewnych sytuacjach: człowiekowi mogło zrobić się lżej na duszy, mógł poczuć się pewniej. W moich badaniach patrzę na pomoc jako na zachowanie bardziej aktywne. To nie znaczy, że każda pomoc dawała te same wyniki. Człowiek mógł robić wszystko, co tylko możliwe i byli Polacy, którzy oddali za tę pomoc życie.

Ale przede wszystkim uważam, że musimy pamiętać o tym niszczącym otoczeniu, o okolicznościach niespotykanego wcześniej okrucieństwa. Fakt, że Niemcy mordowali Żydów był straszny, ale sposób, w jaki tego dokonywali, był bez precedensu w dotychczasowej historii: było to systematyczne okrucieństwo o kryminalnym charakterze zarządzone przez władze państwowe. Tego nie znano wcześniej. Nie tylko fakt, że Żydzi musieli zginąć, ale że ginęli w tak okrutny sposób, na skutek niewyobrażalnych tortur i w tak strasznych męczarniach. Niemcom nie wystarczało, że giniemy. Zabijali nas i musieliśmy umierać w męczarniach. To jest niezwykle istotny czynnik w całym procesie zrozumienia. Poprzez stwierdzenie, że musimy uznać, iż bardzo mały odsetek ludzi w taki czy inny sposób, mniej czy bardziej aktywnie uczestniczył w udzielaniu różnych form pomocy, chcę powiedzieć, że powinniśmy uznać, że nawet tylko pewne gesty mogły pomóc przetrwać danej osobie, być psychologicznym wsparciem dla ukrywającego się Żyda. To prawda, że jeśli zapytać osoby ocalone, które przetrwały okupację po stronie „aryjskiej" (ja sama przeanalizowałam relacje około 300 takich osób, albo dzięki własnym wywiadom, albo poprzez relacje archiwalne), czy otrzymywały jakąś pomoc, czy też działały bez żadnego wsparcia – okazuje się, że około 95 proc. zawsze miało jakąś pomoc. Czy uzyskanie schronienia choćby na jedną noc, czy otrzymanie jakichś pieniędzy czy dokumentu, wskazanie bezpiecznego miejsca, czy coś innego. Ale te 95 proc. osób ocalonych otrzymało – jednorazowo lub wielokrotnie – jakąś pomoc, bez której nie mogłoby się obyć. Gdyby przyjrzeć się bardzo dokładnie, okazałoby się, że nawet i te pozostałe 5 proc. ocalonych osób otrzymało także pewną pomoc. Choćby tylko talerz zupy – to mógł być początek ocalenia. Dzięki temu można odzyskać siły, aby działać dalej. Jeśli kogoś nie zadenuncjowano – to też była już jakaś pomoc.

Tak, mówimy, że to były zachowania mniejszości. Ale druga rzecz, która była przecież wnioskiem z Pani ówczesnych badań, że ci ludzie, którzy pomagali aktywnie, byli właściwie pewnym marginesem. I to marginesem szczególnym. To byli ludzie, którzy charakteryzowali się nonkonformizmem, indywidualną niezależnością. Byli niezależni psychicznie, moralnie.

To jest inna rzecz. Pani szuka teraz odpowiedzi na pytanie, kim oni byli. Staram się umieszczać to w konkretnym kontekście. Musimy wiedzieć, czy pomoc udzielana była przez antysemitę, czy przez – jak ich określam – płatnych pomocników, gdy stanowiła propozycję biznesową, czy też była to pomoc udzielana bezinteresownie. Niezależnie od tego, trzeba zrozumieć, czy i w jakim stopniu ratowała ona czyjeś życie. Chcę podkreślić jeszcze raz myśl, którą wcześniej tu wypowiedziałam. To było zachowanie niezwykle rzadkie.

A teraz kwestia, którą pani podniosła: kim byli ratujący. Możemy próbować ustalić, co mieli ze sobą wspólnego, jakie cechy ich charakteryzowały, jakie spełniali warunki czy kryteria. Można też pytać, jaki wpływ wywierali różnego rodzaju ratownicy na tych, którzy poszukiwali ich pomocy. Możemy pytać o różne sprawy i kierować się w różne strony. Nie powinniśmy się ograniczać. Ale musimy uznać, że ratownicy stanowili bardzo znikomą mniejszość. Inaczej będzie to trywializowanie Zagłady.

Pewien młody człowiek wyskoczył z pociągu jadącego do Auschwitz. Powrócił do Warszawy i nie miał się gdzie podziać. Dzwonił do swoich braci, których nie mógł odnaleźć. Poszedł do jednego znajomego, do drugiego... To prawda, nie wydali go, nie byli wobec niego niemili, ale nikt nie chciał udzielić mu schronienia. W końcu – popełnił samobójstwo: wyskoczył z trzeciego piętra jakiegoś budynku. Nie miał wyjścia, nie miał gdzie iść.

Musimy zrozumieć kontekst, w jakim to się zdarzyło. Trzeba zrozumieć, dlaczego ktoś, kto ma rodzinę, nie chce ryzykować życia swoich bliskich dla ratowania Żydów. A z drugiej strony, dzięki Bogu, byli tacy, którzy podejmowali to ryzyko. Należy uznać, że były to osoby bardzo wyjątkowe. Jeśli natomiast twierdzimy, że większość udzielała pomocy, to trywializujemy i Zagładę, i rzeczywiście udzieloną pomoc. Winniśmy unikać tego dla tych, którzy podjęli się niesienia pomocy, aby oddać im sprawiedliwość. Ci, którzy ratowali Żydów, pokonali ogromne trudności i z wielu powodów przeżywali wówczas ciężkie czasy.

Były przecież prawa. Istniało rozporządzenie, nieznane w innych okupowanych europejskich krajach, nakaz stosowany surowo, który stwierdzał, że osoba udzielająca pomocy Żydowi jest tak samo winna jak Żyd. I wiele osób straciło życie z tego powodu. Wiadomo, że Niemcy upewniali się, czy każdy wie o tych rozporządzeniach, czy są stosowane i odnoszą skutek. A zatem, już po kilku dniach od ich wprowadzenia pojawiały się obwieszczenia: taki i taki zginął, bo pomagał Żydom, taki i taki zginął, bo przeszedł przez mur getta na „aryjską" stronę. Żyd zginął i ten, który mu pomagał, także zginął. Niemcy specjalnie publikowali takie obwieszczenia, bo chcieli, żeby Polacy wiedzieli. I rzeczywiście wiedzieli. W 1941 roku, 15 października ogłoszono rozporządzenie mówiące, że jeśli jakiś Żyd bez specjalnego zezwolenia wyjdzie z getta na stronę „aryjską", grozi mu śmierć; a ten, kto mu pomoże wyjść i przebywać po stronie „aryjskiej" – też nie uniknie kary śmierci. I Niemcy bardzo szybko zaczęli zabijać ludzi, żeby pokazać, że to prawo istnieje i funkcjonuje.

Można się zastanawiąć, dlaczego – jeśli tak mało było takich zachowań – jesteśmy nimi tak zaciekawieni. Muszę powiedzieć, że zadawałam to pytanie Karskie-

mu. Pytałam go: „Janie, powiedz mi, dlaczego to jest takie ważne. Stale powtarzasz, że należy mówić o tych, którzy ratowali, że to jest konieczne. Dlaczego? Przecież to była mała garstka, po co mamy o nich mówić". Karski odpowiedział: „Przede wszystkim dlatego, że to jest część naszej historii, jeśli więc się coś pomija, fałszuje się historię. Jeszcze ważniejsze, że to ma znaczenie jako antidotum dla antysemityzmu. Dla Żydów i dla dzieci żydowskich ważne jest, by wiedzieć, że nie wszyscy ich nienawidzą. Że byli też wspaniali ludzie, o niezłomnym charakterze moralnym, pełni dobroci i poświęcenia, którzy byli gotowi oddać za nich swoje życie. I wielu z nich straciło nie tylko swoje życie, ale ginęli też członkowie ich rodzin – żeby ci Żydzi przeżyli. Dla nich Żydzi mieli więc chyba jakąś wartość". Nie byli niczym, „podludźmi", jakich chcieli z nas zrobić Niemcy, którzy patrzyli przez pryzmat własnych emocji i „aryjskiej" ideologii. Widzieli ludzi, jednostki i społeczeństwa poszczególnych krajów w kategoriach usytuowania na skali wartości aryjskich. Na najwyższym miejscu tej hierarchii byli oczywiście sami Niemcy. Widzi się to, co chce się widzieć. To jest wyłącznie kwestia ideologii. Bardzo trudno znaleźć w tym jakiś sens..

Dlatego Karski twierdził, że to jest tak ważne również dla antysemitów, bez względu na to, czy byli Polakami, Czechami, czy kimkolwiek innym. Ratujący byli fantastycznymi, cudownymi ludźmi, którzy chcieli oddać życie za Żydów. To oznacza, że Żydzi byli tego warci, co jest sprzeczne z przekonaniem, że wszyscy nienawidzą Żydów. Nie wszyscy ich nienawidzą, nie wszyscy chcą ich zniszczyć.

Istnieją różne odmiany antysemityzmu. Dobraczyński nie godził się na zabijanie Żydów. Chciał, żeby Żydzi opuścili Polskę. Kiedy z nim rozmawiałam wiele lat temu, powiedział mi otwarcie, że nie jest filosemitą. Inni też to mówili. Podkreślanie tego jest bardzo ważne. Zawsze powracam przy tej okazji do Karskiego, który twierdził, że byli ludzie, którzy uważali, że Żydzi są warci tego, żeby za nich umrzeć. I że byli tacy, którzy za nich umierali. Ważne jest, by pamiętać o tym, gdy uczymy młodych o tamtych czasach. I dla Żydów jest to ważne. Karski nie znosił mentalności ofiary. To nie jest cała historia. Było przecież tylu Żydów, którzy tak wiele wnieśli do kultury...

Mówiąc o swojej książce sprzed 20 lat, podkreśla Pani, że nie wolno odchodzić od kontekstu, że trzeba dostrzegać cały ten kontekst. Ale dzisiaj, z perspektywy lat, czy uważa Pani, że w tamtej książce w wystarczający sposób Pani ten kontekst uwzględniła?

Nigdy nie uważam, że zrobiłam coś wystarczająco. Naprawdę, zawsze można zrobić lepiej.

W tych wszystkich późniejszych badaniach, pracach...

Bardzo często ich autorzy nie zauważają kontekstu. Zostawiają czytelnikowi wrażenie, że każdy wówczas ratował. Nie każdy. A dlaczego ratowanie było tak trudne tutaj, w Polsce? Musimy mieć o wiele więcej szacunku dla Polaków, aniżeli – powiedzmy – dla Francuzów czy dla innych narodowości. Dlaczego? Bo tu było najciężej ratować Żydów. Przede wszystkim, Żydów, którzy tu żyli, łatwo było rozpoznać. Po drugie, prawa okupanta były bardzo surowe. Polacy mogli stracić życie

i to nie tylko ci, którzy sami nieśli pomoc, bo przecież Niemcy stosowali zbiorową odpowiedzialność. W mojej książce opisałam, jak całe rodziny z dziećmi zostały wymordowane, dlatego że ich członkowie ratowali jednego czy dwóch Żydów. Istniały ogromne bariery i to była jedna z nich. Inną przeszkodą były rozporządzenia okupanta, jeszcze inną – antysemityzm, który panował w społeczeństwie. A zatem, osoby udzielające Żydom pomocy musiały przezwyciężyć różne przeszkody, pokonać ogromne utrudnienia, stwarzane przez Niemców, by przeciwdziałać udzielaniu pomocy Żydom. Ratujący musieli pokonać przeszkody, które stanowili ich sąsiedzi, znajomi i bardzo często ich własne rodziny.

Znam nierzadkie sytuacje, kiedy rodzina nie wiedziała, że w tym samym miejscu, mieszkają Żydzi. Był taki Jackowski, który uratował 32 osoby, przechowywane w piwnicy. Jego matka i siostra, które były antysemitkami, mieszkały z nim w tym samym domu. A on uratował tych Żydów. A zatem – osoby ratujące musiały zmierzyć się z sąsiadami, z opozycją, którą miały wokół siebie, musiały czasami pokonać swój własny antysemityzm, którym niekiedy były dotknięte. W tej książce nie podałam prawdziwych nazwisk wielu osób, z którymi przeprowadziłam wywiady. Niektóre z nich to były wspaniali, „święci" ludzie, ale musieli pokonać swój własny antysemityzm, którego nie były świadome i który określam jako antysemityzm zinternalizowany (uwewnętrzniony). Wiem to stąd, że badałam ich antysemityzm. To nie jest takie proste. Oczywiście nie mogłam pytać wprost żadnego Polaka: czy jest pan antysemitą. Przecież wiedzieli, kim jestem i co badam. A poza tym, oni rzeczywiście myśleli o sobie, że nie są antysemitami. A zatem, jak o to pytać? Jedno pytanie zadawałam wszystkim moim polskim rozmówcom. Uczyłam się tego jako socjolog. Pytałam: „Powiedz mi, czy ludzie, których uratowałeś, różnili się czymś od pozostałych Żydów?" I bardzo często odpowiadali: „Oczywiście, że tak. Ci, których uratowałem, byli inni. Byli czyści, nie kręcili, nie oszukiwali nikogo..." Podawali – nieświadomie – wszystkie stereotypowe wyobrażenia dotyczące tego, jacy są według nich Żydzi.

Zinternalizowany antysemityzm nie jest czymś, co człowiek sobie uświadamia. To zjawisko opisałam już w mojej książce *The Light Pierced the Darkness*. Taki uwewnętrzniony antysemityzm ma niesłychaną moc, podobnie jak uwewnętrzniony faszyzm. Z tego właśnie powodu miały miejsce marsze śmierci, dlatego też do ostatniej praktycznie chwili przed zakończeniem wojny odbywało się mordowanie. Idea, że Żydzi muszą być unicestwieni, była tak silnie zakorzeniona w nazistach, że nikt już nie stał nad nimi, nie pilnował, jak pracują. Nawet nie naziści, ale po prostu Niemcy uważali, że trzeba w tym uczestniczyć. Nie lubię używać określenia „naziści". Stosuję określenie „Niemcy", ponieważ cały niemiecki system przemysłowy ręka w rękę z nazizmem współpracował. Wszystkie szczeble administracji państwowej i wojska ochoczo uczestniczyły w mordowaniu. Nikt nie musiał nad nimi stać. Jeśli mamy do czynienia z armią, której żołnierze mają zinternalizowane pewne wartości, nie trzeba sprawdzać, czy wykonują swoją robotę.

Czasami były jednak wyjątki...

W moich książkach zawsze uwzględniam wyjątki. W ostatniej także – opisuję przypadki bardzo porządnych Niemców, którzy przeciwstawili się tej tendencji.

Była to grupa przemysłowców, którzy zostali nawet wyróżnieni medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" przyznawanym przez Yad Vashem. Ryzykowali życie dla ratowania innych.

Jak dzisiaj, z perspektywy późniejszych pani badań dotyczących Zagłady, widzi Pani kwestię pomocy, którą Polacy udzielali ukrywającym się Żydom? Czy te późniejsze badania wniosły coś nowego, co zmieniałoby wnioski zawarte w Pani książce sprzed 20 lat?

Nie. Moja następna książka wychodzi już za kilka miesięcy[2]. Ale duże opracowanie, które ma się ukazać potem, zawiera dość skomplikowane porównawcze badania nad żydowskim i nieżydowskim ruchem oporu, w różnych grupach. Oczywiście, to nie jest łatwa rzecz, jakie przyjąć definicje, itd. W moich początkowych badaniach odrębnie traktowałam pomoc w ratowaniu Żydów (*rescue*) i opór (*resistance*), poniekąd dlatego, że moje rozumienie oporu nie było jeszcze tak wyraziste. Miałam wiele wątpliwości i problemów z tym związanych. Ale teraz rozpatruję ratowanie Żydów jako formę oporu. Przyjmuję szeroką definicję: skoro za pewne działania mogły grozić surowe kary, skoro pomaganie Żydom czy przechowywanie Żydów mogło powodować utratę życia czy zastosowanie innych surowych kar, jak wysłanie do obozu koncentracyjnego, to znaczy, że tego rodzaju działania są formą oporu. Moje badania sprzed ponad 20 lat dotyczące ludzi, którzy ratowali Żydów, pomogły mi pogłębić moją obecną pracę naukową, która nie jest łatwa i mam nadzieję, że będę mogła ją skończyć, chociaż posuwa się dość powoli.

To ciekawe, bo w odniesieniu do ludzi, którzy się ukrywali korzystałam z definicji oporu wcześniej już przez Panią sformułowanej. Walka o życie, o przetrwanie – to też był opór, bo była to forma przeciwdziałania narzuconym przez okupanta regułom i przymusowi, przeciwstawiania się intencjom okupanta.

Na bardzo teoretycznym poziomie, tak. Od tego zaczęłam i tak mówiłam na początku. Ale teraz nieco to zmieniam. Takie rozmowy, jak ta, troszeczkę mi w tym pomagają. Jeszcze szukam. Opieram się na definicji, która bierze pod uwagę reakcję oprawcy, reakcję tego, po czyjej stronie jest siła i władza. Oczywiście, Niemcy posiadali pełnię władzy. To oni inicjowali działanie. Ci, którzy mieli władzę, dyktowali warunki. A zatem, definicja terminu oporu do pewnego stopnia przechodzi od antycypowanej reakcji do reakcji rzeczywistej, kiedy ma właśnie miejsce opór. W coraz większym stopniu odwołuję się do zbiorowości, do oporu zbiorowego. Oddalam się coraz bardziej od sztywnej definicji Hilberga[3], która odnosiła się do oporu zbrojnego. Nie można definiować oporu poprzez pytanie, na ile ten opór był skuteczny i jak się przyczynił do zniszczenia przeciwnika. Alianci przez lata nie byli skuteczni, nie mogli zwyciężyć Niemców. Czego więc można było oczekiwać od garstki biednych, wygłodniałych, pozbawionych wszystkiego, zdemoralizowa-

---

[2] *Every Day Lasts A Year: A Jewish Family's Correspondence from Poland*, by Christopher R. Browning, Richard S. Hollander, and Nechama Tec, Cambridge University Press, 2007.

[3] Hilberg, Raul, *Sprawcy – Ofiary – Świadkowie. Zagłada Żydów 1933–1945*, Warszawa 2007.

nych na różne sposoby ludzi? Że się podniosą? Było tyle oporu, ile było. Więcej, niż sądzimy. I to był cud.

Pytam o coś innego, o kwestię udzielania pomocy Żydom. Czy po tych 20 latach, które minęły od pani ówczesnych badań, zmieniło się coś w ogólnym Pani oglądzie ratowników i pomocy?

W jakich dziedzinach? W sensie ogólnym, pojęciowym, widzę obecnie pomoc jako część bardziej pojemnej, szerszej kategorii –oporu. Generalnie rzecz biorąc, moja praca i badania – na szczęście dla mnie – w dużym stopniu stanowią kontynuację. Jedno badanie, zanim zostanie ukończone, już sugeruje nowe zagadnienia do zbadania, które podejmuję w kolejnej książce.

Czy badała Pani dokładniej, jakie znaczenie ma płeć[4] w doświadczeniach związanych z Zagładą i z ocaleniem? Czy w odniesieniu do niesienia pomocy, Pani zdaniem, płeć w jakikolwiek sposób wpływała na zachowania tych, którzy ratowali i tych, których ratowano? Czy w tej sprawie płeć w ogóle odgrywała rolę?

Na podstawie tego, co wiemy, można powiedzieć, że w tych konkretnych kontekstach, gdy ludzie mogli pomagać, ratować albo mogli walczyć, płeć odgrywała stosunkowo niewielką rolę. Nie posiadamy dokładnych danych dotyczących Zagłady. Dysponujemy jedynie pewnymi szacunkami. Jedne są bardziej precyzyjne, inne mniej. Weźmy na przykład radziecką partyzantkę. Miała ona dość duże znaczenie. W 1943 r. była już stosunkowo dobrze zorganizowana. Udział kobiet w tej partyzantce, to zaledwie 2–3 proc. A zatem, ich udział w tym ruchu partyzanckim był bardzo niewielki. Uczestnictwo kobiet było o wiele wyższe w innych ośrodkach. Niemcy wyznawali bardzo patriarchalną ideologię. I nie spodziewali się, że kobiety mogą być czynne w ruchu oporu. A odgrywały one bardzo istotną rolę w tworzeniu powiązań między różnymi organizacjami czy między poszczególnymi ogniwami w ramach określonej organizacji. Odnosi się to zarówno do polskiego podziemia, jak i do francuskiego ruchu oporu: kobiety były bardzo ważnymi kurierami. Ponieważ tak się narażały, zaznacza się wśród nich znaczny wskaźnik śmiertelności. Karski szacował, że życie kuriera trwało trzy miesiące, po upływie których ginął. Kurier jako łącznik miał kontakty z podziemiem, z osobą, która przekazywała mu rzeczy do dostarczenia, z osobą, której trzeba było je dostarczyć, a także z ludźmi na swej drodze... Były to więc osoby, które bardzo dużo ryzykowały, były narażone na liczne niebezpieczeństwa, na ujawnienie, na złamanie tajemnicy. Możemy stwierdzić, że udział kobiet w ruchu oporu jest szczególnie wysoki w początkowych etapach tworzenia się grup podziemia, a nawet – przed ich uformowaniem się. Wówczas tak bardzo potrzebni są ochotnicy, że akceptuje się też kobiety. To jedna sprawa. Ponadto, na początkowym etapie działalności podziemnej nie są jeszcze opanowane podstawy: jak się ukrywać, jak konspirować, jak wykonywać poszczególne zadania, jak przerzucać broń, informacje, itp. I wtedy właśnie jest najwyższy wskaźnik

[4] N. Tec, *Resilience and Courage. Women, Men, and the Holocaust*, New Haven & London 2003.

śmiertelności. Wspólnie z kolegą z John Hopkins University napisaliśmy artykuł o Maszy Bruskinie. Pierwsza egzekucja na Białorusi miała miejsce 26 października 1941 r. i była to publiczna egzekucja Maszy Bruskiny. Była ona żydowskim kurierem. Uciekła z getta, by przyłączyć się do sowieckiej partyzantki. Została zabita razem z kilkoma mężczyznami.

No tak, ale gdy mówimy o ukrywaniu, o przechowywaniu Żydów, można powiedzieć, że łatwiej było zaakceptować udzielenie pomocy kobiecie czy dziewczynce ze względu na to, że nie miały one – jak w przypadku mężczyzn – piętna obrzezania.

Wszystkie badania pokazują, że o wiele więcej kobiet mogło ukrywać się „na powierzchni", niż w kryjówkach. Kobiety miały większe szanse „na aryjskich papierach", miały więcej możliwości utrzymania się, pracy, uczestniczenia w życiu swego „aryjskiego" otoczenia. Ogromne różnice dotyczyły również tego, że kobiety mogły wykonywać prace, które były bardziej dostępne właśnie dla nich, na które było większe zapotrzebowanie, mogły pracować jako pomoce domowe, służące, opiekunki dzieci, guwernantki i wykonywać inne prace tego rodzaju. Istotne jest także, że mężczyzna mógł być łatwo rozpoznany przez fizyczny test, poprzez sprawdzenie, czy jest obrzezany. To było konkretne zagrożenie, które sprawiało, że mężczyźni częściej przebywali w ukryciu niż kobiety. Kobiety mogły łatwiej się przemieszczać, krążyć „na powierzchni".

Ale właśnie to „kręcenie się" wśród ludzi stanowiło też większe zagrożenie.

Im bardziej było się wystawionym na kontakty z ludźmi, tym większe było zagrożenie. Ale nie wiemy, jakie czynniki odgrywały tu pierwszorzędną rolę. Możemy jedynie przypuszczać, ale nie wiemy na pewno, jak to działało.

Jeśli chodzi o cechy ratowników, tych którzy altruistycznie udzielali pomocy Żydom, czy ich charakterystyka, dokonana przez Panią 20 lat temu, z dzisiejszej perspektywy uległaby modyfikacji?

Biorąc pod uwagę aktualne opracowania, nie znajduję wielu prób rzeczywistego wyjaśnienia – w sensie logicznym i teoretycznym – tego zjawiska. Większość danych ma charakter opisowy. Zatem, kiedy znajduję przypadki opisane bardzo szczegółowo, wydają się one pasować do kategorii, które wyróżniłam. Być może oznacza to, że przywiązuję się do teoretycznych pojęć, ale nie sądzę, bo chciałam bardzo zmienić swoje poglądy. Na przykład, kiedy podjęłam się badań nad kwestią płci i więzi społecznych, sądziłam, że kobiety w większym stopniu mają potrzebę więzi. A jednak stwierdziłam tyle samo więzi wśród mężczyzn, co wśród kobiet. Nie w teorii. Na przykład w obozach koncentracyjnych – żaden mężczyzna nie był w stanie przeżyć sam. Szanse miał tylko ten, kto miał jakieś wsparcie. I to samo odnosi się do kobiet. Może charakter tych więzi był nieco odmienny, bo wpływać na to mogła przeszłość tych jednostek czy role związane z płcią. Byłam skłonna poddać się. Ale nigdy się nie poddaję. Ciągle jeszcze nie znalazłam wyjaśnienia, które satysfakcjonowałoby mnie bardziej niż ten szczególny zestaw cech, który wcześniej sformułowałam, cech, które są ze sobą wzajemnie powiązane i sensowne (w znaczeniu teoretycznym i logicznym). Ale teoria nie jest nigdy zestawem reguł i praw.

Zawsze uczę tego moich studentów: jeśli odkryjesz coś, co jest sprzeczne z tym, co ustaliłeś wcześniej, nie odrzucaj tego. Nie można się poddawać. Ciąży na tobie zobowiązanie, by wykryć, z czego wynika ta odmienność. Nawet jeśli to podważa twój dotychczasowy sposób rozumienia, który dawał ci lepszą i szerszą perspektywę. Nie znalazłam dotychczas konkurencyjnego zestawu wyjaśnień. Dobre koncepcje, w tym również moja teoria udzielania pomocy, mają jako podstawę pewną trwałą filozofię życia. A ta filozofia w tym przypadku ma związek z pomaganiem innym ludziom, w drobnych sprawach, niekoniecznie w tak istotnych jak ratowanie czyjegoś życia i ryzykowanie własnego. Pasuje do pewnego wzorca zachowań.

Wielu ocalonych Żydów po wojnie chciało zapomnieć o tym doświadczeniu.

Tak, ja chciałam zapomnieć. I zapomniałam.

Ale chodzi mi o to, że niektórzy zapomnieli także o tych ludziach, którzy pomogli im przetrwać wojnę. Jak to tłumaczyć? Jak można to wyjaśnić?

Kiedy zaczęłam to badanie, to właśnie bardzo mnie bolało: brak wdzięczności. Patrzyłam na to jako na brak wdzięczności uratowanych – dla tych, którzy ich ratowali. Przede wszystkim, rozumiem tych, którzy byli ratowani za pieniądze. Ratujący dostali pieniądze, zachowywali się dobrze. Ci, którzy byli opłacani, są zupełnie inni niż ci, którzy działali bezinteresownie, w sposób altruistyczny. To wszystko – w moim własnym doświadczeniu – było niesłychanie trudne emocjonalnie. Na przykład, ci chrześcijanie, którzy nas ratowali, moją rodzinę i mnie w Kielcach, byli opłacani. To był układ za pieniądze. Tym niemniej byłam im bardzo wdzięczna, bo ryzykowali życie. Czy było się opłacanym, czy nie. Chcieli nas się pozbyć, bo bardzo się bali. Teraz to rozumiem, ale oni nie tłumaczyli nam tego. Musieliśmy udawać, że nie wiemy, dlaczego mamy zniknąć. Przyszli do nas i powiedzieli, że ich córka wychodzi za mąż. Daliśmy im pieniądze: „na ślubną wyprawę". Ale na ślub nie zostaliśmy zaproszeni. Potem straciliśmy z nimi kontakt. To była bolesna sprawa. Sporo czasu zabrało mi zrozumienie tego, dlaczego Żydzi nie czuli wdzięczności wobec swoich wybawców, nawet tych, którzy ratowali ich bezinteresownie. Te osoby, które nam pomagały, były wyjątkowe, chociaż im płaciliśmy. To byli dobrzy, serdeczni ludzie. Jeszcze o tym nie pisałam, a chciałabym... Byliśmy w okropnej sytuacji –była to sytuacja kompletnej zależności. Nigdy nie można było sprzeciwić się osobie, która nie była Żydem. Zawsze należało przyznawać rację, bo można było wpaść w tarapaty... Wciąż czytało się antysemickie stwierdzenia, a jako chrześcijanka stykałam się z nimi na każdym kroku, chodziłam przecież do kościoła, gdzie one były obecne stale... Słyszeliśmy je od przyjaciół. Oni ciągle żartowali z Żydów. W owym czasie w Kielcach nie było Żydów. Ale stale powtarzane były te dowcipy o Żydach pijących krew chrześcijańskich dzieci.

A zatem – byliśmy całkowicie zależni. Nawet jeśli się miało jako opiekunów cudownych ludzi, wiadomo było, że nie można się im sprzeciwić, bo to groziło zgubą. A kiedy wojna się skończyła – kto chciałby wracać do tej sytuacji, do położenia, w którym był tak bardzo zależny od drugiej osoby? Kto chciałby przypominania, że był kompletnym zerem, nikim? Nie twierdzę, że to spowodowali Polacy. Ale ci, którzy przeżyli, nie chcieli wracać do tej sytuacji. Należy zrozumieć, że relacja

między osobą ratującą a ratowaną, nawet między osobą ratującą bezinteresownie a ratowaną – nie była pełna chwały... Nie chcę wchodzić w kwestie związane z seksem, z atrakcyjnością seksualną czy lękiem, że będąc Żydówką, nie można odmówić temu, kto pomaga, nawet jeśli odczuwa się do niego wstręt, obrzydzenie. Są sprawy, o których się nie mówi do dziś i które nie powinny być ujawniane. Jestem przekonana, że jeśli w życiu jakiejś osoby są takie momenty, które bardzo ją ranią i których przypominanie wywołuje jej cierpienie i chaos –należy to uszanować, przyznać jej przywilej zachowania tego dla siebie. Rzeczywiście, nie posiadamy żadnych systematycznych danych na temat zachowań seksualnych w owym czasie. To jest sfera, o której bardzo mało wiemy. Wiemy co nieco, ale to nie jest żadna systematyczna wiedza, ani reprezentatywna, ani pogłębiona. Możemy domyślać się pewnych rzeczy, ale nie sądzę, abyśmy mieli prawo do badania tej sfery, jeśli dana osoba tego nie chce. Staram się nie wywierać żadnej presji na osoby, które udzielają mi wywiadu. Nawet niektórzy ludzie z najbliższego kręgu moich przyjaciół nigdy nie opowiadały mi o swoim wojennym doświadczeniu. Wiem, że są ocalonymi, przeszły przez ten czy inny obóz koncentracyjny. Jedna z tych osób powiedziała mi: „Nie mogę czytać twoich książek, po prostu nie mogę czytać takich książek, nawet mówić o tym nie mogę..."

Mogę zrozumieć kogoś, kto nie chce pamiętać osoby, która pomagała mu za pieniądze. Nie chce mieć z tą osobą nic wspólnego. Ale myślę o stosunku osób ocalonych do tych ludzi, którzy im pomagali, nawet bezinteresownie – że po wojnie było to jakby wracanie do tych sytuacji, w których byliśmy po prostu nikim. Bardzo trudno jest to zrozumieć. Mój ojciec nie chciał wiele mówić po wojnie, nie chciał wyjaśniać. Wtedy zawsze trzeba było się mieć na baczności. Dotyczy to osób, które pomagały, które przecież ryzykowały swoim życiem, a także życiem swoich rodzin. Takich osób było jednak niewiele i tym bardziej powinny być nam drogie.

Pamiętam wywiad, który przeprowadzałam z pewną Polką, nauczycielką. Wzięła żydowskie dziecko, przechowywała tę dziewczynkę przez lata i bardzo ją pokochała. Ale wojna się skończyła, a ona obiecała matce dziecka – która wojny nie przeżyła – że po wojnie wyśle dziecko do Palestyny, do jej brata, którego adres matka dziewczynki jej dała. Tak się stało. Ale dziewczynka nie chciała jechać, zaczęła nienawidzić swojego wujka, bo była bardzo związana z tą kobietą. Kochała ją bardzo i zinterpretowała odesłanie jej do wujka jako odrzucenie. Ta kobieta powiedziała mi, że kochała to dziecko jak swoje własne (a swoich dzieci nie miała), ale czuła się zobowiązana, żeby je zwrócić, jak obiecała to matce dziecka. Rozmawiałam z tą dziewczynką po wielu latach. Była bardzo zgorzkniałą kobietą. Nie wystąpiła o odznaczenie medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata dla tej kobiety, która ją uratowała. Powiedziała mi, że miała zrujnowane życie przez to, że została przez nią odesłana. Nie mogła tego znieść. Po latach – nie mogła do tego wracać. Najpierw sądziłam, że to niewdzięczność. Ale potem zrozumiałam, że nie chodzi tu o niewdzięczność. Myślę, że dla niej powracanie do przeszłości, kiedy była nikim, po prostu nikim i niczym, było nie do wytrzymania. Nie mogła do tego wracać...

Mam sporo materiałów na ten temat i muszę to opisać. Ale dotyka to mnie osobiście i wiem, że nie będę w tej sprawie całkiem obiektywna.

Często powtarza się w rozmaitych materiałach, relacjach oraz w opracowaniach na temat ukrywania się po stronie „aryjskiej", również w Pani książkach, że Polacy łatwiej rozpoznawali Żydów niż Niemcy, że w związku z tym Żydzi bardziej obawiali się Polaków. Czy ci, którzy pomagali ukrywającym się Żydom, zawsze wiedzieli, komu pomagają? Bo były też takie przypadki, że ktoś udzielał pomocy, ale nie wiedział lub nie chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia...

Były takie przypadki. Znałam jednego taksówkarza w Izraelu. W czasie okupacji zostawił go na rogu ulicy człowiek, u którego wcześniej jako chłopiec przebywał. Powiedział mu: powiedz, że ty nie wiesz, gdzie jest twój tata. Wziął go jakiś bezdzietny chłop. Nie wiedział, że to jest żydowski chłopiec. Do gospodarstwa przychodzili partyzanci żydowscy i ten chłopczyk, pomimo że miał jakieś 4–5 lat, jakoś wiedział, rozumiał, kim jest. I dopiero po wojnie ten człowiek się dowiedział...

Ale opisani przeze mnie ratownicy, ci bezinteresowni, raczej wiedzieli. Wyjątkowe były takie sytuacje, gdy nie wiedzieli, kim są osoby, którym pomagają. W pracy, konspiracyjnej zwłaszcza, lepiej nie wiedzieć, ze względu na bezpieczeństwo.

* * *

W tamtej Pani książce o ratowaniu Żydów – do pewnego stopnia – stosowała pani podejście ilościowe. W późniejszych artykułach poddawała je pani pewnej rewizji ze względu na kwestię reprezentatywności danych.

Jeśli ktoś używa statystyk w tej dziedzinie, przyrzeka coś, czego nie może spełnić. To jest w porządku. Statystyki można stosować tylko pod pewnymi warunkami. A te warunki nie są nigdy spełnione w odniesieniu do tego rodzaju danych, które mamy w przypadku Zagłady. To jest materiał jakościowy, a nie ilościowy. Używanie danych jakościowych do ilościowej analizy jest niewłaściwe. W tej książce wyliczałam procenty i tego rodzaju rzeczy... Miałam relacje 305 ocalonych Żydów i 195 osób, które ryzykowały życie, by ratować Żydów – chodzi o bezinteresownych ratowników – ale to nie jest w żaden sposób reprezentatywne. Jeśli miałabym inną próbę, relacje innych ludzi, jeśli okazało by się, że co innego jest dla nich charakterystyczne, jestem otwarta na nowe dane. Uwzględniłabym je i próbowała je zrozumieć. I na bazie tych wszystkich danych usunęłabym te fragmenty mojego rozumowania, które nie pasują do całości. O ile mogę ująć to teoretycznie, o tyle ma to dla mnie sens. To nie znaczy, że każdy przypadek musi odpowiadać teorii. Starałam się analizować przypadki z różnych krajów – pochodzące z Polski, Holandii, Francji – i sprawdzać, czy wyjaśnienie pasuje. Otóż pasuje do pewnego stopnia. Być może powinnam powtórzyć analizę pewnych czynników, które są ze sobą wzajemnie powiązane, ponieważ sądzę, że są one bardzo ważne dla zrozumienia całości.

Podstawową cechą tych ludzi, którzy ratowali, jest fakt, że byli oni bardzo niezależnymi jednostkami. Nie byli w pełni zintegrowani ze swym otoczeniem. Nie byli w konformistyczny sposób tacy sami jak pozostali. Oznacza to, że znajdowali się na marginesie grup, na „peryferiach" miasteczka czy społeczności. A co za tym idzie –

nie poddawali się kontroli społecznej. Jeśli człowiek nie jest w pełni zintegrowany, nie musi spełniać oczekiwań społeczności, bo nie czuje się jej rzeczywistą częścią. A to z kolei oznacza, że tacy ludzie czują się wolni i działają w sposób niezależny. Ratowanie Żydów oznaczało wówczas coś przeciwnego niż to, co było społecznie oczekiwane i pod naciskiem wymagane. A kto mógł temu się oprzeć? Ci, których nie obchodziło tak bardzo, czy sąsiedzi patrzą na nich podejrzliwie,czy ich lubią, czy nie. Ten ratował, kto robił to, co uważał za istotne. A ważne było dla niego, żeby żyć w zgodzie z własnymi wartościami, które nakazywały podawać pomocną dłoń drugiemu człowiekowi, dać parę groszy, jeśli dziecko żebrze, czy cokolwiek, co posiada. Ratowanie Żydów było dla takich osób czymś naturalnym i Żydzi zazwyczaj właśnie do nich trafiali. Takie działanie mieściło się w pewnym wzorcu zachowań. A ci ludzie następnie rozszerzali tę pomoc.

Kiedy jakieś 30 lat temu w Warszawie przeprowadzałam wywiad z Ireną Lendlerową, pierwszą rzeczą, jaką mi powiedziała, to, że ludzie tacy jak ona nie są wcale bohaterami. Że robili to, co powinni byli robić. Nie chcą czuć, że było to coś wyjątkowego... Chociaż świetnie wiedzieli, że groziła im kara śmierci, byli tego świadomi, ale byli przyzwyczajeni do tego, że kiedy przychodzi na to czas, należy coś robić, że nie można siedzieć z założonymi rękami i czekać. Podejmuje się pewne działania, bo tak się powinno zareagować, albo wchodzi się powoli w te sytuacje, gdy najpierw ukrywający się Żydzi przychodzą na jeden dzień, a potem zostają na rok, bo nie mają gdzie pójść. Jedna kobieta powiedziała mi, że oczywiście mogli przechowywanych Żydów wyrzucić z mieszkania, ale jak ona mogła wyrzucić z domu tę kobietę, która przebywała z nią przez jakiś czas i którą ona nauczyła się szanować. Jeśli coś się robi, co jest dla kogoś naturalne, to po prostu się to robi. A zatem, jedną z cech charakterystycznych dla osób ratujących było to, że nie były one zintegrowane ze swoim otoczeniem.

Użyła Pani nawet takiego stwierdzenia, że byli to ludzie znajdujący się na marginesie swojej społeczności czy grupy.

Na marginesie, ale w sensie pozytywnym. Być kimś niezależnym – to znaczy robić to, co się chce robić, a nie to, czego wymaga otoczenie. A co oni chcieli robić? Byli przyzwyczajeni, by nieść pomoc drugiemu człowiekowi. Jeśli ma się takie przyzwyczajenia, takie odruchy, to człowiek nie zastanawia się, nie rozważa, co robić, tylko po prostu to robi. Takie działanie wciąga człowieka. Może ono przebiegać stopniowo, albo może być działaniem pod wpływem impulsu. Coś się wydarza i przyprowadzasz daną osobę do swojego domu. Nie postrzegasz tego jako coś niezwykłego. Dlatego właśnie ci ludzie nie zgadzają się, by określać ich mianem bohaterów. To jest ich wewnętrzny nakaz i nie mogą zachowywać się inaczej. Irena Sendlerowa miała ogromne trudności, by znaleźć miejsca schronienia dla ratowanych dzieci żydowskich. Ratując te dzieci, nie widziała w nich Żydów, ale po prostu ludzi. Takie podejście określam jako uniwersalistyczne postrzeganie innych.

Jest sześć warunków czy właściwości, charakterystycznych dla osób ratujących Żydów. Mogły występować z różnym nasileniem, ale nie możemy przecież ich dokładnie zmierzyć. Są wzajemnie ze sobą powiązane i pasują do siebie w sensie

teoretycznym. [5] Może coś innego da się jeszcze stwierdzić na ten temat? Mam nadzieję... Bardzo bym chciała, aby inni badacze poddali analizie tę moją koncepcję, by ją zweryfikowali. Jeśli by poszerzyli tę koncepcję,odrzucili pewne jej elementy albo włączyli inne, jeśli zaproponowaliby inne wyjaśnienia – byłabym z tego powodu bardzo szczęśliwa. Potrzebujemy konkurencyjnych teoretycznych wyjaśnień, a nie tylko odrębnych przypadków, bez dostrzegania tego, co je łączy. To, co staram się robić, to rzeczywiście analizować dane, które posiadam, wszechstronnie je rozważać.

Właśnie, interesują mnie także założenia metodologiczne, które przyświecają Pani w badaniach. Na przykład, w książce o ratowaniu bardzo ważne było stwierdzenie, że należy analizować całą relację, to znaczy zarówno doświadczenie tego, kto ratował, jak i doświadczenie osoby ratowanej. Czy to założenie przekłada się także na myślenie, że w badaniach nad Zagładą ważne jest docieranie do różnorodnych źródeł, do źródeł pochodzących z różnych stron?

Tak, zanim rozpoczęłam badania nad problematyką Zagłady, byłam socjologiem, wykładałam też metodologię. Napisałam również metodologię badań Holokaustu. Wcześniej robiłam analizy statystyczne, bardzo precyzyjne... Gdy przeszłam do badań nad Holokaustem, zdałam sobie sprawę, że tutaj nie można mieć żadnych prób losowych, nie działa zasada reprezentatywności. Przedtem robiłam badania oparte na bardzo precyzyjnych wyliczeniach, a tutaj – znajduję się z danymi, które mają charakter jakościowy. Jak to ich użyć? Czułam, że jedynym sposobem prowadzenia takich analiz tak, aby chociaż częściowo być z tego zadowoloną, jest podejście „warstwowe"[6]. Innymi słowy, jeśli badam jakieś zagadnienie, muszę posiadać warstwowe dowody. Dowody (świadectwa, zeznania) obejmują materiały archiwalne, pochodzą z różnych źródeł archiwalnych, z moich wywiadów, z wywiadów przeprowadzonych przez innych badaczy, z tylu źródeł, z ilu mogę cokolwiek uzyskać. Jeśli jakieś źródło czy świadectwo nie zgadza się z poprzednimi moimi stwierdzeniami, muszę je uwzględnić i zrozumieć, z czego to wynika. Dane jakościowe tracą wiele na precyzji, ale silnie do nas przemawiają. To bardzo piękny, poruszający materiał. W badaniach ilościowych pewne sprawy możemy uchwycić tylko powierz-

[5] Właściwości osób ratujących (i warunki niesienia pomocy), to wedle Nechamy Tec: „1. indywidualność, 2. niezależność lub zaufanie do siebie w dążeniu do realizowania własnych wartości, 3. trzeźwe [praktyczne] poglądy na temat ratowania, idące w parze z przekonaniem, że nie było nic heroicznego czy nadzwyczajnego w ich działaniach na rzecz potrzebujących Żydów, 4. długotrwałe zaangażowanie w niesienie pomocy potrzebującym, zaangażowanie jeszcze sprzed wojny, które wtedy rzadko wiązało się z Żydami, 5. nieplanowane i stopniowe początki działań pomocowych, z czasem mające nagłe i impulsywne zwroty, 6. uniwersalistyczny sposób postrzegania osób potrzebujących, polegający na tym, że usuwane są w cień wszystkie inne cechy danej osoby, za wyjątkiem tego, że jest ona zależna od udzielanej jej pomocy" (N. Tec, *op. cit*., s. 180).

[6] W oryginale: „layered approach". W metodologii badań jakościowych na gruncie polskiej socjologii tego rodzaju podejście – różnicowania danych (i metod badawczych) – znane jest jako „triangulacja danych" (i „triangulacja metod"). Por. Krzysztof Konecki, *Studia z metodologii badań jakościowych. Teoria ugruntowana*, Warszawa 2000.

chownie. Natomiast zgłębianie danych jakościowych może być fascynujące... Oczywiście, odgrywa rolę także to, że ta dziedzina jest mi bliska, tamte czasy mają dla mnie szczególną wartość. Nie jest to proste. Jest sprawą oczywistą, że posiadamy swoje własne wartości, że chcemy coś pokazać, ale musimy być bardzo ostrożni, świadomi własnych intencji i ograniczeń. Ringelblum mówił do swoich archiwistów: macie zbierać wszystko, co widzicie, na temat i dobrych, i złych aspektów historii, bo na historię składają się także szmalcownicy, żydowscy i chrześcijańscy donosiciele. Musicie sporządzać raporty o wydarzeniach pozytywnych i negatywnych, o kradzieżach, zbrodniach, o wszystkim, co powinno być zapisane, co nie może być „zamiecione pod dywan". Napisałam artykuł o metodologicznym podejściu Ringelbluma. On wskazał mi pewne kierunki postępowania. Na przykład, jeśli chciał zbadać jakieś zagadnienie, zlecał niezależne zbieranie danych dwóm czy trzem osobom. A potem porównywał rezultaty ich pracy. Był pod wpływem metodologii badań socjologicznych z powodu swoich związków z wileńskim YIVO.

Badania, które uwzględniają wszystkie – pozytywne i negatywne – aspekty zjawisk, wszelkiego rodzaju postawy czy zachowania ludzi, dają całościowy obraz. Ale pojawia się pokusa, by pytać o rozmiary pewnych zjawisk, takich jak szmalcownictwo czy pomoc udzielana Żydom. Istnieje pokusa, żeby wiedzieć, jaki był zakres takich postaw. Pani podkreślała już, że to była mniejszość, że ratujących było może 5 proc. Czy tu w ogóle mogą padać jakieś liczby? Czy sądzi pani, że na przykład późniejsze badania mogą przynieść jakieś inne, nowe szacunki rozmiarów pomocy udzielanej Żydom w czasie okupacji?

Myślę, że nie ma tu miejsca na badania ilościowe. To są kwestie, które trzeba badać „w głąb". Zawsze przestrzegam moich studentów, że nie liczby powinny się liczyć, ale to, jakie mamy materiały, pochodzące z rozmaitych źródeł, i jakie są ich wzajemne powiązania. Potrzeba jak najwięcej źródeł i wszystkie trzeba uwzględniać. Nie ukrywać niczego. Pokazać tyle różnych aspektów, ile się tylko da. Przedstawiać różne kategorie, różne grupy. Kierować się własnymi definicjami. Przyglądać się zebranym danym, systematycznie, krok po kroku je analizować i szukać ... jak długo czas pozwoli. Przede mną ciągle jeszcze jest tyle zagadnień do zbadania...

Jest Pani z wykształcenia i z praktyki akademickiej socjologiem – metodologiem. Czy posługując się zastanymi narzędziami badań socjologicznych i historycznych, można podejmować badania nad Holokaustem? Czy do tego rodzaju badań nie są niezbędne pewne specyficzne narzędzia?

Specyficzne podejście przypuszczalnie jest potrzebne. Coś, co określam jako dążenie, by być jak najbliżej głosów ofiar, głosów tych, którzy cierpieli. By dawać im głos. Mamy obowiązek, by znajdować się bardzo blisko nich, by spoglądać ich oczami, by opisywać tamtą rzeczywistość z perspektywy doświadczenia tych ludzi. Zwłaszcza, gdy prowadzimy wywiady. W ostatniej mojej książce zdałam sobie sprawę, że osoby ocalone nie chciały mówić o różnicach w okupacyjnym doświadczeniu kobiet i mężczyzn. Nie można wywierać nacisku, jeśli ci ludzie sobie tego nie życzą. Musi jednak istnieć przyczyna, dlaczego nie chcą o tym mówić czy w ogóle dostrzegać tej kwestii. Nie trzeba się poddawać, tylko po prostu przejść do innych

zagadnień, inaczej zapytać, czasami otwarcie postawić pytanie. W badaniach nad Zagładą trzeba być świadomym tego, że nie ma się do czynienia z materiałem ilościowym. Nie ma sensu zastanawiać się, kłócić się o to, ile było jakich osób. Nikt nie wie, ile ... Bez sensu są stwierdzenia: „każdy ratował" czy „nikt nie ratował". Nie można tak. Istnieją pewne skrajne postawy. Trzeba pamiętać, że zawodowych kolaborantów było nie tak dużo, że niewielu też było ratowników. To były zdecydowane mniejszości. A większość – znajdowała się pomiędzy, przechodząc z jednej strony na drugą, zmieniając postawy, nie chcąc się angażować, itd.

Jeszcze jedno ogólne pytanie. Czy Holokaust nie wymusza jakiejś redefinicji czy radykalnej krytyki dotychczasowych paradygmatów, obowiązujących w socjologii?

Dla mnie nie, wręcz przeciwnie. Z czasem powracam do moich dawnych mistrzów i coraz bardziej ich cenię. Zawsze byłam pod wpływem teorii... Aby dać pewien typowy przykład: teoria charyzmatycznego przywództwa Maxa Webera. Co się dzieje z charyzmatycznym przywódcą, gdy kryzys jest zażegnany? Wraca do nicości, niczego już nie posiada i nie pasuje do nowej sytuacji, w której liczy się, na przykład, tradycja. Moje socjologiczne wykształcenie pomaga mi niesłychanie, bo stosuję te koncepcje. Osobiście byłam pod wpływem niezwykle głębokich teoretycznie koncepcji George'a Simmela. Miałam to szczęście, że byłam studentką Roberta Mertona, uczyłam się u Paula Lazarsfelda, który był wspaniałym metodologiem, u Roberta Hymana, który robił znakomite badania i analizy socjologiczne. Kiedy byłam na Uniwersytecie Columbia, było to rzeczywiście centrum świata socjologicznego. Nie było lepszego miejsca na świecie, jeśli chodzi o teorię socjologiczną i metodologię badań społecznych.

Z Pani doświadczenia badawczego wynika więc, że badania nad Zagładą, nad doświadczeniem ekstremalnym nie wpływają na zmianę dotychczasowych koncepcji socjologicznych na temat człowieka czy relacji międzyludzkich?

Myślę, że nie. Pojmuję Zagładę jako sytuację ekstremalną. Badanie tego rodzaju może nam dać głęboki wgląd w rozmaite sytuacje ekstremalne, w jakich ludzie mogą się znaleźć i których nie można zbadać inaczej. W sytuacjach granicznych możemy ujrzeć człowieczeństwo takim, jakim ono jest rzeczywiście, niejako w stanie surowym.

Możemy dowiedzieć się czegoś nowego o człowieku?

W sytuacjach ekstremalnych odsłania się to, co jest najgorsze i to, co najlepsze w człowieku. Karski mówił, że powinniśmy być świadomi faktów w danym kontekście. Nie jest ważne, że niektórych zachowań nie było tak dużo. Ważne, że w ogóle były.

Czy pamięć osób ocalonych jest zawsze ich pamięcią? Na ile relacje czy wywiady z nimi odzwierciedlają też konstrukty myślowe: tych, którzy ratowali, osób uratowanych, świadków?

Obecnie to oni dostarczają nam dowodów, relacji, własnego sposobu widzenia ich osobistych przeżyć. Opowiadają też o ludziach, którzy znajdowali się wokół, opowiadają historię wojny, której doświadczyli. Dzięki nim możemy zgłębiać tamte

sytuacje, próbować je zrozumieć. Pisał o tym Ringelblum. Był znakomitym metodologiem i teoretykiem, wielkim historykiem, myślicielem. Mam dla niego wielkie uznanie. Napisałam kilka artykułów o nim i o jego pracy. Chciałabym wiedzieć o nim jeszcze więcej. Emanuel Ringelblum oraz Jan Karski – to są wielkie postaci, o wielkich zasługach.

Myślę, że doświadczenia tych, którzy ocaleli z Zagłady, bo mamy przecież tak niewiele świadectw osób, które zginęły, dotyczą tak delikatnej materii i te są tak złożone, że wymusza to pewien określony sposób opisywania, który nigdy nie jest jednoznaczny. To znaczy, że w naszym opisywaniu Zagłady pokazujemy różne odcienie...

Trzeba być ostrożnym w opisie tych sytuacji i przeżyć. Mieć szacunek dla relacji, dla danych empirycznych. Nie wolno ich naginać do swoich wyobrażeń. Jeśli coś mi się nie podoba, to mój problem. Nie powinnam, nie mam prawa pomijać tego, co nie pasuje mi do ogólnego obrazu. Życie jest pełne niuansów, odcieni, które musimy uwzględniać w naszym opisie i analizie. Musimy je szanować – w tym sensie, że opisujemy ludzi złapanych w pułapkę horroru. A jeśli ludzie znajdują się w sytuacji granicznej, jeśli są wtłoczeni w straszliwe sytuacje, wtedy ukazują się tacy, jacy rzeczywiście są. Jakby byli nadzy. W swojej nagości emocjonalnej, intelektualnej.

Bardzo dziękuję za rozmowę.